

WISIELEC I KSIĘŻYC

KATARZYNA
GACEK
AGNIESZKA
SZCZEPAŃSKA



Katarzyna Gacek, Agnieszka Szczepańska

WISIELEC I KSIEŻYC

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2024

ISBN: 978-83-67950-35-0

Copyright © Katarzyna Gacek, Agnieszka Szczepańska

Tekst: Funky Books, Sopot 2010

* * *

Otaczała go ciemność.

Nic nie rozpraszało jego wzroku.

Nic nie rozpraszało jego myśli.

Zamknął moc w dłoniach.

Czekał.

Minuta mijala za minutą, godzina za godziną, a on nie czuł nic oprócz chłodu kamienia.

Oczekiwał ciepła, znalazł chłód.

Oczekiwał energii, znalazł bezsilność.

Oczekiwał spełnienia, znalazł rozczarowanie.

Niespełniona nadzieja nagle umarła.

Z całej siły zacisnął palce na kamieniu. Chciał go zmiażdżyć, skruszyć na proch. Złość, która w nim wezbrała, ogarnęła go gwałtowną falą. Zamachnął się i rzucił kamieniem przed siebie.

Odgłos głuchego uderzenia o ścianę przyprawił go o dreszcz. Żądza destrukcji ustąpiła miejsca tęsknocie. Rzucił się na kolana i zaczął przeszukiwać podłogę po omacku. Kiedy jego dłoń natrafiła na owalny kształt, poczuł niewypowiedzianą ulgę. Już nigdy się nie rozstana, teraz był tego pewien. Musi tylko sprawić, by powróciła moc. Musi wskrzesić jej siły witalne. Znaleźć sposób, by znowu zaczęła obdarzać go swoją energią.

Dotknął kamienia wargami.

– Co mam zrobić? – szepnął. – Mów!

Ciszę rozproszyły delikatne dźwięki. Natężył słuch. Cymbalki? Dzwonki? Dopiero po chwili zrozumiał, że to śmiech małego dziecka. Nagle śmiech się załamał, przechodząc w płacz. Zacisnął pięści.

– Dziękuję – szepnął do kamienia.

Już wiedział...

* * *

– Pani Małgosiu, skończyłam...

Niska, korpulentna, mniej więcej sześćdziesięcioletnia kobieta odstawiła Mr Muscle do szafki pod zlewozmywakiem, wyprostowała się i poprawiła podwijającą się bluzkę.

Małgorzata wyjęła z portfela sto złotych i wręczyła sprzątacze.

– Dziękuję. Napracowała się pani dzisiaj z tymi oknami... – uśmiechnęła się.

Pani Ala skwapliwie schowała pieniądze do kieszeni luźnej bawełnianej spódnicy.

– Jak mróz, kiepsko się myje. A jutro rano wpadnę, mieszkanie przelecę – odpowiedziała również z uśmiechem. I nagle, jakby coś sobie przypomniała, nachyliła się do Małgorzaty i wyszeptwała konfidencjonalnym tonem:

– A ten dzieciak to długo będzie u pani?

Małgorzata odruchowo spojrzała w kierunku dużego pokoju, gdzie pięcioletni Kuba, który od kilku dni przebywał pod jej opieką, odbywał właśnie popołudniową drzemkę. Drzwi do pokoju były zamknięte, ale mimo to ściszyła głos.

– Na pewno... Ta sprawa z jego ojcem jeszcze potrwa. Wróci do domu najwcześniej za miesiąc...

Pani Ala ze zrozumieniem pokiwała głową.

– Jakie to szczęście, że się pani mogła zająć dzieciakiem! Taki mały, a już tyle przeżył...

Małgorzata westchnęła. Pani Ala miała rację. Pasma nieszczęść zaczęło się trzy lata temu, kiedy u Weroniki, matki Kubę i najbliższej przyjaciółki Małgorzaty, zdiagnozowano nowotwór złośliwy węzłów chłonnych, który zabił ją w przeciągu roku. Zdruzgotany mąż przez długi czas nie mógł się otrząsnąć po stracie. W opiece nad Kubą pomagała mu teściowa, jednak dramat choroby córki odcisnął na jej zdrowiu tak wielkie piętno, że przed dwoma miesiącami ona również umarła, jak to mawiają ludzie, ze zgrzyoty. I tak samotny czterdziestolatek, zabiegany pracownik dużej firmy, został po raz kolejny rzucony na głęboką wodę. Pojawiło się przemęczenie, bezsenność i pierwsze objawy depresji. Być może dlatego przed kilkoma dniami na przejściu dla pieszych przed swoim biurem wszedł prosto pod koła dostawczego mercedesa.

Obrażenia nie okazały się na szczęście śmiertelne. Najpoważniejszy uraz, czyli skomplikowane złamanie kości udowej, wymagał jednak interwencji operacyjnej, a następnie długiej i żmudnej rehabilitacji.

Dlatego pierwszą rzeczą, jaką wykonał, kiedy znalazł się w szpitalu i usłyszał diagnozę, był telefon do Małgorzaty – jedynej osoby, której mógł powierzyć opiekę nad synem.

– To dzielne dziecko – uśmiechnęła się Małgosia. – Kiedy mu powiedziałam, że przez jakiś czas będzie musiał mieszkać u mnie, poprosił tylko, żeby mógł spać w dużym pokoju, bo stamtąd widać okna ich mieszkania.

– A za ojcem nie płacze? – dopytywała pani Ala, wkładając ciepłą kurtkę w kolorze fuksji i owijając szyję ciemnofioletowym szalikiem.

– Nie. Musiałam mu tylko obiecać, że będziemy go codziennie odwiedzać w szpitalu. Oczywiście, że tęskni, ale stara się być dzielny.

Sprzątaczką schowała plastikowe klapki, których używała jako kapci, do dużej torby w ulubionym fioletowym kolorze. Jej wzrok padł na leżącą pod lustrem kartkę z kolorowym, zamasztywanym dziecięcym rysunkiem. Kobieta sięgnęła po nią, złożyła na pół i również schowała do torby.

– Dał mi w prezencie – wyjaśniła Małgorzacie. – Byłoby mu przykro, gdybym nie zabrała.

Położyła rękę na klawce.

– To jutro będę. A gdyby w tygodniu pani Małgosia miała jakieś kłopoty albo potrzebowała, żeby ktoś z dzieckiem posiedział, to ja chętnie przyjdę. Pani tylko zadzwoni.

– Dobrze, pani Alu. Gdyby coś się działo, to się zgłoszę.

Kobieta rozejrzała się ostatni raz po przedpokoju, żeby sprawdzić, czy czegoś nie zapomniała, i wyszła na korytarz. Choć do wieczora zostało jeszcze kilka godzin, prawie pozbawioną okien klatkę schodową spowijał nieprzyjemny półmrok. Gdzieś na górze trzasnęły drzwi do windy, a mechanizm ruszającego dźwigu wydał z siebie przenikliwe jęknięcie. Sprzątaczką wzdrygnęła się. W takich miejscach zawsze czuła się nieswojo. Ruszyła szybkim krokiem w kierunku schodów i po chwili z ulgą opuściła wysoki, dziesięciopiętrowy blok na warszawskim Targówku.

Podwórko powitało ją ostrym, mroźnym powietrzem. Zapadał zmierzch. Przed blokiem było pustawo. Wzdłuż jego ścian przemykali zmarznięci przechodnie, a właściciele wyprowadzanych na spacer psów przytupywali z zimna, czekając, aż ich pupile załatwią swoje najpilniejsze potrzeby. Pani Ala poprawiła na ramieniu fioletową torbę i pomyślała, że dorabianie sprzątaniami to był strzał w dziesiątkę. Nie znosiła bezczynności, dlatego siedzenie w niewielkim mieszkaniu przed telewizorem nie było tym, o czym marzyła po przejściu na emeryturę. Idąc za namową jednej z koleżanek, powiesiła w okolicy ogłoszenie i już następnego dnia rozdzwoniły się telefony. Teraz, po upływie roku, miała pięć stałych klientek i kilka takich, które wzywały ją raz na jakiś czas. Dzięki temu prawie codziennie miała okazję do wyjścia z domu, a zarobione w ten sposób pieniądze odkładała na wymarzoną pielgrzymkę do Ziemi Świętej.

Tuż obok jej twarzy przeleciała śnieżna kula. Gdyby nie to, że kobieta odruchowo się odchyliła, dostałaby nią w policzek.

– Halo! – pogroziła pięścią w kierunku dwóch kilkunastoletnich chłopaków chowających się za ścianą osiedlowego śmietnika. – Chuligany jedne!

Po czym odwróciła się do nich tyłem i falując obfitymi biodrami, odeszła w kierunku pętli autobusowej. Pożegnał ją chóralny wybuch śmiechu i kilka niewybrednych komentarzy, ale pani Ala postanowiła je zignorować. Gdyby jednak obejrzała się za siebie, zobaczyłaby czarnego jeeпа z przyciemnianymi szybami, który wyjechał z sąsiedniego parkingu i ruszył za nią bardzo powoli.

* * *

Krystyna Brzozowska zatrzymała się na rogu Chmielnej i Nowego Światu i spojrzała na zegarek. Osiemnasta zero dwie. Za wcześnie. Co prawda była umówiona na osiemnastą, ale na pierwsze spotkanie z mężczyzną zawsze lepiej się trochę spóźnić. Niech myśli, że jej nie zależy.

Podeszła do okna wystawowego sklepu z butami i jednym rzutem oka oceniła swój wygląd. Było lepiej niż dobrze. Obcisła kurtka w panterkę, może zbyt cienka na dzisiejszy mróz, ale za to pięknie eksponująca wcięcie w talii, do tego wąska biała spódnica i białe lakierowane kozaki, no i przede wszystkim długie, jasne włosy wymykające się spod futrzanej czapki precyzyjnie ułożonymi przed chwilą przez fryzjerkę lokami. Krystyna nie wyglądała na swoje pięćdziesiąt lat i doskonale o tym wiedziała.

Wciągnęła brzuch i zacisnęła jeszcze mocniej pasek kurtki, a wyjętą z torebki szminką pociągnęła usta. Osiemnasta zero pięć. Powoli ruszyła w kierunku Bliklego, choć musiała się bardzo pilnować, by nie przyspieszać kroku. Dziś była wyjątkowo podekscytowana...

Gerarda znalazła na jednym z portali randkowych. Czy raczej – to on ją znalazł. Wysłał jej oczko, ona odpowiedziała tym samym, po czym zaczęła się szybka wymiana mejli, w wyniku której właśnie teraz, dwa dni po pierwszym kontakcie, szła na spotkanie z mężczyzną, który określił się jako wrażliwy romantyk pragnący ukochaną kobietę otoczyć opieką i spełnić wszystkie jej marzenia.

Do kawiarni weszła wyprostowana, z uniesioną dumnie głową i szybko omiotła wnętrze uważnym wzrokiem. W pierwszej sali nie zauważyła nikogo, kto przypominałby jej Gerarda ze zdjęcia zamieszczonego w internecie, za to jeden z kelnerów obejrzał się za nią z zaciekawieniem. Uśmiechnęła się i utwierdzona w przekonaniu o własnej atrakcyjności skierowała kroki do drugiej sali.

Był. Siedział w rogu z twarzą skierowaną do wejścia. Wysoki, szczupły, ubrany w białą, luźną bawełnianą koszulę z haftem przy stojce. Miał długie siwe włosy ściągnięte z tyłu gumką i wyraziste, regularne rysy. Choć w pomieszczeniu panował półmrok, jego oczy przysłaśniały ciemne okulary – znak rozpoznawczy, na który umówili się przez internet. „Rzeczywiście przystojny”, pomyślała z ulgą. Dobrze wiedziała, że zdjęcia zamieszczane na portalach często nie odpowiadały rzeczywistym wizerunkom.

Mężczyzna podniósł się ze swojego miejsca, a na jego twarzy pojawił się grymas przypominający uśmiech. Krystyna wystudiowanym gestem odrzuciła włosy do tyłu i kołyszając biodrami, podeszła do stolika.

– Gerard? – spytała, zawieszając głos.

– Krystyna?

Wyciągnęła rękę. Ujął ją swoją szczupłą i chłodną dłonią, uniósł do ust i musnął wargami.

– Zapraszam...

Pomógł jej zdjąć kurtkę i odsunął krzesło. „Dzientelmen”, pomyślała z satysfakcją. Usiadła, zakładając nogę na nogę w taki sposób, aby najlepiej wyeksponować kolana.

– Na co masz ochotę? – Gerard nachylił się lekko w jej kierunku. – Herbata? Kawa? Może pączek? – przesunął w jej stronę kartę leżącą na stoliku.

Krystyna sięgnęła po nią, niby niechcący muskając palcami dłoń mężczyzny. I choć Gerard natychmiast cofnął rękę, zdążyła poczuć dziwny chłód jego skóry.

– Cappuccino – stwierdziła. – I pączek, tak, chętnie – strony przerzucała nieuważnie, koncentrując się głównie na tym, by jak najlepiej wyglądać.

Niestety, nie miała pojęcia, jakie wrażenie robi na mężczyźnie, ponieważ nie widziała jego oczu.

– Mógłbyś? – dotknęła policzka znaczącym gestem.

– Ach, to... Oczywiście – szybkim, kanciastym ruchem zdjął okulary. Jego tęczówki były tak jasnoblękitne, że nieomal białe. Krystynie przeleciało przez myśl, że Gerard wygląda i rusza się tak, jakby nie był żywym człowiekiem, tylko sklepowym manekinem. Ale nie zaprzętała sobie tym głowy zbyt długo, ponieważ mężczyzna nachylił się w jej kierunku i powiedział cicho:

– Czy ty też masz takie wrażenie, że jesteśmy sobie przeznaczeni?

Godzinę później Krystyna była skłonna przyznać mu rację. Gerard, na przemian uwodzicielski i zdystansowany, miał w sobie energię, która pociągała ją z zadziwiającą siłą. Kiedy patrzył na nią swoimi przenikliwymi jasnoblękitnymi oczami, drżała, a jego głos działał na nią hipnotyzująco. Gdy powiedział jej komplementy chłodnym, odrobinę wyniosłym tonem, myślała tylko o tym, żeby jej dotknął, pocałował. Jednak on, rozpalając jej emocje, swoje umiętnie trzymał na wodzy. Kontrolował sytuację z wdziękiem i pewnością siebie. Krystyna nie miała wątpliwości, że to on pociąga za sznurki.

Idąc na to spotkanie, spodziewała się kolejnej miłej, przelotnej znajomości. Teraz dałaby dużo, bardzo dużo, żeby należeć do tego tajemniczego mężczyzny. I żeby on należał do niej. Dlatego kiedy poprosił ją o przysługę, nie wahała się ani chwili.

– To bardzo delikatna sprawa – uprzedził, przeszywając ją wzrokiem. Pod wpływem tego spojrzenia przebiegł ją podniecający dreszcz. – Chciałbym, żebyś jutro rano poszła w to miejsce – szybko napisał adres na papierowej serwetce i podsunął Krystynie – i powiedziała...

* * *

Klatka schodowa była ciemna, brudna i cuchnęła moczem. Koślawe drewniane schody ze szerniałą ze starości poręczą niknęły w mroku pierwszego piętra, a obdrapane ściany pokryte gęstą siatką pęknięć wyglądały tak, jakby za chwilę miały się zawalić. Anna ostrożnie postawiła nogę na pierwszym stopniu. Odruchowo wyciągnęła rękę, żeby przytrzymać się poręczy, kiedy z góry dobiegł ją donośny, męski głos:

– Nie dotykaj! Zabezpieczam!

Więc cofnęła dłoń i ruszyła powoli po schodach, rozglądając się uważnie, choć w panującym półmroku trudno było cokolwiek zauważyć. Jednak im wyżej, tym robiło się jaśniej – na drugim piętrze ekipa techniczna ustawiła dwa silne halogeny. Ostre światło przesączało się przez drewnianą balustradę wąskimi smugami, w których drobinki kurzu tańczyły niczym rzucona przez kogoś szczerą dłońią garść złotego proszku. „Piękne”, przebiegło Annie przez głowę.

Ale to, co zobaczyła na podeście drugiego piętra, już piękne nie było.

Na podłodze oparte plecami o ścianę leżało ciało kobiety. Skrzyżowane na piersiach ręce wyglądały tak, jakby zmarła chciała nimi zakryć serce. W jej oczach, ciągle otwartych,

zastygło przerażenie. Z dużej fioletowej torby wysypały się na podłogę różne drobiazgi. Między innymi kartka z narysowanym żółtą kredką księżycem w nowiu. Obok ta sama niepewna rączka innym już kolorem nakreśliła kilka kresek, które łączyły się ze sobą, tworząc kształt szubienicy i wisielca.

– I co my tu mamy? – spytała Anna, podając rękę szefowi ekipy technicznej.

Jednocześnie przebiegło jej przez głowę, że autorem rysunku musi być dziecko mniej więcej w tym samym wieku co jej synek.

– Trudno powiedzieć. Ale na pewno nie zawał. Patrz – Anna nachyliła się w stronę ściany, przy której leżały zwłoki, i przyjrzała uważnie ciemnej, pionowej smudze nad głową ofiary.

– Krew? – spytała zdziwiona. Na pierwszy rzut oka ciało wyglądało na nieuszkodzone.

– Tak – potwierdził technik. – Pęknięta podstawa czaszki.

– I to było przyczyną śmierci?

Technik odchrząknął.

– Prawdopodobnie. Ale będziemy wiedzieć dopiero po sekcji. Na razie wygląda to tak, jakby ktoś popchnął ją na ścianę.

Anna przyglądała się zwłokom w milczeniu.

– Kim jest ofiara?

Technik zajrzał do notatek.

– Alicja Nosek, lat sześćdziesiąt cztery. Mieszka w tym domu, lokal numer dwanaście, trzecie piętro. Na razie tyle.

– Kto znalazł zwłoki?

– Sąsiadka. Spod trzynastki, nomen omen.

– No dobra, od czegoś trzeba zacząć – Anna poprawiła opadającą na oczy ciemną grzywkę. – Idę.

Drzwi z numerem trzynaście otworzyły się, zanim Anna zdążyła zastukać. W szparze ukazała się nalana twarz kobiety, której wiek trudno było określić. Wyglądała na pięćdziesiątkę, ale równie dobrze mogła mieć o dziesięć lat mniej. Lub więcej.

– Dzień dobry, komisarz Anna Sarnowicz, policja. Czy to pani znalazła zwłoki?

Kobieta przez chwilę wyglądała na zaskoczoną widokiem policjantki, ale szybko się opanowała i szerzej otworzyła drzwi.

– Proszę, pani wejdzie – szybkim, czujnym spojrzeniem omiotła klatkę schodową. – Jak to teraz trzeba uważać – westchnęła. – Kto by pomyślał! Dać się zabić we własnym domu!

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI